

# MARIUSZ KASZYŃSKI

## Przerwana lekcja

Zbyszek stał na korytarzu i wpatrywał się w przeszklone drzwi prowadzące na zewnątrz. W każdej chwili na doskonale przez nie widoczny parking mogła wjechać karetka. Od telefonu minęło już dziesięć, może nawet piętnaście minut, a przecież szpital nie był daleko.

– Jeszcze ich nie ma? – usłyszał słaby głos Jolki.

Odwrócił się, starając się przywołać na usta uśmiech. Nie miał zielonego pojęcia, czy sytuacja jest poważna, chyba nikt w ich grupie nie miał, ale Jolka przeżywała wszystko najbardziej. Stała biała, co chwila niespokojnie zerkając na otwarte drzwi klasy.

A wszystko przez to, że Ileana Ionete źle się poczuła. Przez ponad trzydzieści minut jak zwykle, bez żadnych oznak zmęczenia czy skrywanego cierpienia, prowadziła lekcję, a potem nagle umilkła w pół słowa. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, usiadła i chwyciła się za klatkę piersiową. Zdaniem Zbyszka, tak gdzieś w okolicach serca. Na twarzy kobiety pojawił się ból, jej rysy stężały.

Zadzwonili po karetkę prawie natychmiast, tym bardziej że Ileana siedziała w bezruchu, nie odpowiadając na pytania. Czy coś się stało? Czy źle się pani czuje? Czy coś panią boli? Nic, nawet słowa. Co najwyżej wodziła wzrokiem po ich twarzach, a jej usta drżały. Tak jakby szeptała, ale bardzo, bardzo cicho.

– Może ktoś powinien wyjść przed budynek? – Wiktor wyrwał Zbyszka z zamyślenia. – Tak na wszelki wypadek, jakby nie mogli trafić.

– Masz rację, chodźmy – poparła Wiktora Weronika.

Zbyszek patrzył, jak wychodzą na zewnątrz. On został na miejscu razem z Jolką i Przemkiem. Stali we trójkę na korytarzu, prawie się do siebie nie odzywając. Ileana została z Mateuszem, Agatą i Anką. To była już cała grupa. Osiem osób. Ośmiu zapaleńców mających tak posrane w głowach, by uczyć się rumuńskiego. Nie angielskiego, niemieckiego, czy wracającego znów do łask – a może raczej do mody – rosyjskiego. Nie, oni wybrali język mieszkańców Transylwanii. Rzecz jasna nie tylko Transylwanii, ale ponoć właśnie stamtąd pochodziła Ileana. W każdym razie tak mówiła. Czy tkwiło w tym choć ziarno prawdy, trudno było stwierdzić. Może jej słowa miały być jedynie chwytem marketingowym? Jeśli tak, to udało się jej. W stu procentach. Oprócz słownictwa i gramatyki liźnęli także trochę folkloru. Właściwie nie zdarzało się, by bez ważnych powodów ktoś nie zjawił się na zajęciach. A wszystko przez aurę, jaką rozciągała lektorka. Zbyszek niejednokrotnie odnosił wrażenie, że wystarczy, by unieść głowę, a zobaczy przed sobą posępne szczyty Karpat.

– Nic jej nie będzie? – Jolka skubała nerwowo brzeg jasnoniebieskiego swetra.

Zbyszek spojrział na nią z sympatią. Lubił ją, nawet bardzo. Miła, inteligentna, zwykle uśmiechnięta, tylko za bardzo się przejmowała. Jej błękitne oczy, teraz nieco przysłonięte opadającą na czoło jasną grzywką, taksowały na zmianę obu chłopaków, jakby szukając potwierdzenia, że wszystko jest – a w każdym razie będzie – w najlepszym porządku.

– Jasne, że nie – zapewnił.

Wcale nie był tego pewny. Ale co niby miał powiedzieć? Że nie wie? To zdecydowanie nie był najlepszy pomysł.

– Zajrzę do nich na chwilę – dodał.

Spodziewał się, że Jolka albo Przemek ruszą za nim, ale oboje zostali na korytarzu. Dziewczyna chyba nawet chciała iść, ale Przemek ją zatrzymał. To dobrze, po co miała się dodatkowo stresować.

Zbyszek wszedł do klasy. Ileana leżała na podłodze, obok niej klęczeli Agata i Mateusz. Anka stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Troje białych kursantów i jeszcze bledsza lektorka. Co prawda co kilka minut do sali zaglądała sekretarka, pani Maria, ale teraz akurat jej tu nie było.

– Czy już przyjechali? – W jakiś sposób Anka wyczuła jego obecność.

– Nie, jeszcze nie. A jak sytuacja?

Mateusz skrzywił się i to wystarczyłoby za całą odpowiedź.

– Nadal nic nie mówi – oznajmiła Agata. – Tylko tak porusza ustami... i patrzy.

Ileana obróciła odrobinę głowę i Zbyszek pochwycił jej wzrok. Przeszły go ciarki. W jej spojrzeniu krył się ból i coś jeszcze, czego nie potrafił zinterpretować.

– Może zadzwonić drugi raz? – spytał, odruchowo sięgając po komórkę.

– Dajmy im jeszcze pięć minut – rzuciła Anka. – Na pewno już jadą.

Zbyszek wzruszył ramionami. Pewnie miała rację, dla niego jednak najgorsze było to czekanie.

Bezczynność – i związania z nią bezsilność – wykańczała go. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność. Gdyby nie miał zegarka, przysięgłby, że minęło już kilka godzin.

– Są! – dobiegł go pisk z korytarza. Głos należał do Jolki.

Cofnął się. Do sali zbliżało się dwóch mężczyzn i kobieta. Wszyscy troje w jaskrawych pomarańczowych strojach. Zbyszek rozpoznał jednego z mężczyzn. Tadeusz był przyjacielem jego ojca.

– Tutaj! – zawołał, choć zdecydowanie było to zbyteczne. Wiktor już wskazał drogę.

Załoga karetki weszła do klasy, nakazując gestem, by wszyscy opuścili pomieszczenie. Po chwili drugi z mężczyzn, ten którego Zbyszek nie znał, wrócił szybkim krokiem po nosze.

Badanie nie trwało długo. Sanitariusze ułożyli Ileanę na noszach i natychmiast skierowali się do karetki.

– To twoja nauczyciela? – ni to spytał, ni to stwierdził Tadeusz, widząc spojrzenie Zbyszka.

Chłopak skinął głową.

– Co z nią?

Mężczyzna cicho westchnął.

– Kiepsko.

– Wyjdzie z tego?

Tadeusz skrzywił się, jakby nie chciał odpowiadać na to pytanie. Mimo to zatrzymał się i pokręcił głową.

– Nigdy nic nie jest przesądzone – powiedział wyraźnie wbrew sobie.

Zbyszek nachylił się nad Ileaną. Kobieta była przeraźliwie blada. Oczy miała zamknięte i gdyby nie wciąż poruszające się usta, przysięgłby, że nauczycielka śpi. A może już umarła? – przemknęło mu przez myśl.

Nagle drgnęła i jej powieki się uniosły. Zbyszek dostrzegł wpatrzone w siebie źrenice. Były zwężone, na ich dnie kryło się coś tak zimnego, że aż cofnął się o krok. Przywidziało mi się, pomyślał, dygocząc, musiało mi się przywidzieć.

– Szybciej, nie ma czasu do stracenia! – krzyknął Tadeusz.

Grupa odprowadziła wzrokiem załogę karetki.

– I co teraz? – spytał Mateusz.

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, drzwi sekretariatu otworzyły się i na korytarz wyszła pani Maria.

– Pojechali – stwierdziła niespokojnym głosem.

– Przed chwilą.

– Dzisiaj jesteście już oczywiście wolni. A co do następnych zajęć... – zawahała się – ich kontynuacja będzie zależała od tego, czy uda nam się znaleźć zastępstwo. No, chyba że pani Ionete szybko wróci do zdrowia. Ale przecież jeśli nawet się okaże, że to nic poważnego, z pewnością przyda się jej odpoczynek. Dlatego mam prośbę. Chciałabym, żebyście przyszli tu jutro o szesnastej. Do tego czasu, mam nadzieję, będę wiedziała coś więcej i razem podejmiemy decyzję co do dalszych planów.

\*\*\*

– No dobra, i co teraz? – spytał Mateusz, gdy wyszli z budynku. – Normalnie skończylibyśmy dopiero za godzinę. Idziemy na piwo?

– Myślałam raczej, czyby nie zajrzeć do szpitala – zaproponowała Anka. – To tylko kilka przystanków tramwajem.

Zbyszek stanowczo pokręcił głową. Nie podobał mu się ten pomysł. Przypomniał sobie reakcję Tadeusza, gdy spytał go o szanse nauczycielki na przeżycie, i poczuł chłód na karku. Jeśli miało się stać najgorsze, wolał dowiedzieć się o tym jak najpóźniej. Poza tym wciąż nie potrafił pozbyć się z pamięci spojrzenia lektorki. Najchętniej wróciłby prosto do domu, ale dziś zapomniał zabrać kluczy, a starzy mieli zjawić się dopiero za godzinę. Nie widział sensu w wystawaniu pod drzwiami. Musiał jakoś zagospodarować ten czas.

– Piszę się na browar – zdecydował.

– Idę z wami – poparł ich Przemek.  
Agata skrzywiła się z odrazą.  
– Jak możecie w takiej chwili...?  
– Pierwszy tyk wypiję za jej zdrowie. – Mateusz roześmiał się, ale zaraz umilkł zmieszany. Zrozumiał, że trochę przesadził. – Nie proponuję imprezy, tylko żebyśmy usiedli i pogadali przy szklance czegoś zimnego – spróbował załagodzić niezręczność.  
– To może pomysł o dobrze schłodzonym soczku pomarańczowym? – dodała zgryźliwie Weronika.  
– Pomarańcze szkodzą mi na żołądek.  
– Jasne, w porównaniu z dobroczynnym działaniem chmielu to wręcz trucizna.  
– Spokojnie, nie kłóćcie się, nie dzisiaj. – Zbyszek stanął między Mateuszem a Weroniką. – Może Ionete już... nie żyje, a wy...  
Wszyscy natychmiast umilkli. Spoglądali na Zbyszka nieco wystraszeni, jakby usłyszeli coś, co nie powinno być wypowiedziane na głos.  
– Nikt nie musi nigdzie iść – ciągnął. – A właściwie każdy może iść tam, gdzie chce. To proste, nie? Na razie żyjemy w wolnym kraju...  
– ...który jutro będzie jeszcze wolniejszy – dorzucił Wiktor. – Ja spadam do domu, a wy róbcie, co chcecie. Do zobaczenia jutro o szesnastej.  
– Ja też muszę lecieć, i tak miałam się dzisiaj zwolnić. – Jolka popatrzyła na zegarek.  
– Jadę do szpitala. Kto ze mną? – spytała Anka.  
Weronika i Agata stanęły bez słowa przy niej.  
– A my chodźmy do tej knajpy. – Mateusz był wyraźnie zniecierpliwiony.  
– Co je ugryzło? – spytał Przemek, gdy zostali tylko we trójkę.  
– Boją się o Ileanę i tyle. – Zbyszek wzruszył ramionami. – Poza tym piwo dzisiaj to raczej średni pomysł.

Dotarli do przejścia dla pieszych i zatrzymali się w oczekiwaniu na zielone światło. Po jezdni sunął zwarty sznur samochodów.

– Ileana i Ileana – mruknął Mateusz – mam już tego dość. Owszem, baba jest w porządku, ale w końcu świat nie kręci się tylko wokół niej. Przeżyje, świetnie, nie przeżyje, też dobrze. Ziemia i tak będzie się obracać dalej...

– Ej, filozofie... – zaczął Przemek, ale umilkł, widząc minę Mateusza.

Twarz kumpla zastępną w dziwnym grymasie, jakby coś go niezmiernie zdziwiło lub przestraszyło. A może jedno i drugie.

Mateusz zeszytniał, po czym odwrócił się w stronę jezdni. W zamyśleniu spojrzął na czerwonego, wyprostowanego ludzika na sygnalizatorze świetlnym, a następnie, nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, zrobił krok do przodu. Wprost pod przejeżdżającego właśnie forda transita.

– Ileana... – wyszeptał.

Zaraz potem rozległ się ostry pisk opon i prawie jednocześnie z nim głośne, głuche uderzenie.

\*\*\*

Zbyszek siedział na wersalce w swoim pokoju i wpatrywał się w ekran niewielkiego telewizora stojącego na szafce. Włączył go pół godziny temu i nastawił na jeden z kanałów muzycznych, ale nie wymieniłby nawet trzech piosenek, które przez ten czas nadano. Wciąż myślał o Mateuszu. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego wszedł prosto pod samochód. To nie był wypadek. Raczej samobójstwo. Przecież Mateusz rozmawiał z nimi jak gdyby nigdy nic i nagle zrobił ten jeden krok. Tak niespodziewanie...

I ten szept. „Ileana...”. Jakby wspomnienie lektorki nie pozwoliło mu żyć.

Rzecz jasna, nie poszli już na żadne piwo. Przemek może nawet nie wrócił jeszcze do domu. Był bardzo blady i wstrząsały nim takie dreszcze, że sanitariusze, którzy przyjechali do wypadku, zabrali go ze sobą. Ponoć tak właśnie objawia się szok. Zbyszek wcale się nie dziwił reakcji kolegi, widok mózgu Mateusza rozsmarowanego po asfalcie wstrząsał również nim. Na szczęście w jego przypadku skończyło się jedynie na dwóch pawiach.

Za drzwiami rozległo się krótkie szczeknięcie i Zbyszek odruchowo podskoczył. Przed jego pokojem stał Wigor, dwunastoletni labrador, snujący się po domu staruszek. Teraz tylko imię zdradzało jego dawny temperament. Chłopak podszedł, by wpuścić psa do środka, ale nim zdążył otworzyć drzwi, dobiegło go stłumione warczenie.

Zatrzymał się zaskoczony. W tym warczeniu brzmiała nieskrywana groźba.

– Wigor, piesku – odezwał się zdławionym głosem.

Pies nie umilkł. Zaczął skrobać w drzwi, starając się dostać do pokoju.

Chłopak ostrożnie położył dłoń na klamce. Nic z tego nie rozumiał. Wigor nigdy nie był agresywny, nawet w stosunku do obcych, a co dopiero do niego. W końcu Zbyszek znał go od szczeniaka. Od małej, włochatej, jasnej kuleczki.

Przezwyćżając niepokój, uchylił drzwi i ujrzał obnażone zęby labradora. Pies wcisnął łeb w szparę i gdyby nie jego wiek, nic nie powstrzymałoby go od wtargnięcia do środka. Nie był jednak już ani tak szybki, ani tak silny jak dawniej. Zbyszek pchnął drzwi, zmuszając psa do cofnięcia się na korytarz.

Wigor usiadł pod drzwiami, nie przestając warczeć. Chłopak widział przez grube szkło jego zniekształconą sylwetkę. Zwierzę czekało, jakby zdawało sobie sprawę, że jego pan kiedyś musi wyjść.

– Tato! – wrzasnął Zbyszek.

Usłyszał stłumione kroki i nagle pożałował, że nie ostrzegł ojca. Wigor oszalał, a biorąc pod uwagę jego rozmiary, nawet na wpół niedołyżny wciąż pozostawał niebezpieczny. Teraz w końcu ucichł, ale nie oznaczało to wcale, że przestał zachowywać się agresywnie.

– Co się stało? – zapytał ojciec.

– Wigor, wściekł się, uważaj!

Zbyszek zobaczył przez taflę drzwi, jak mężczyzna podchodzi do psa i drapie go za uchem.

– Co to za wygłupy?

– Ja... – Chłopak nie wiedział co powiedzieć.

Uchylił ponownie drzwi i wtedy labrador nagłym susem, o który nikt by go nie podejrzewał, rzucił się do przodu. Zbyszek próbował uniemożliwić mu wtargnięcie do pokoju, ale tym razem nie zdążył. Pies przepchnął się przez szparę, głośno ujadając.

– Wigor, uspokój się! – Chłopak usłyszał zaskoczony głos ojca. Sam skupił wszystkie zmysły na labradorze, i to wołanie dobiegało jakby z bardzo daleka.

– Wigor, to ja... – szepnął, cofając się w głąb pokoju. Pies zatrzymał się metr przed nim, obnażając kły. Jego intencje były jasne. Chciał zabić.

Ruszył do przodu i wtedy spadło na niego metalowe krzesło. Zwierzę zaskomlało z bólu i zaskoczenia. Przestało warczeć, ale ojciec Zbyszka nie zważał na to. Ponownie uniósł ciężki mebel i spuścił go prosto na łeb psa. Labrador jęknął i znieruchomiał.

– Musiałem... – wysapał ojciec, nie spuszczać wzroku z Wigora, jakby się spodziewał, że zwierzę jeszcze się podniesie. – On chciał cię...

– Tato...

Mężczyzna odczytał te słowa jako wyrzut. Upuścił krzesło.

– Nie miałem nic innego pod ręką.

– Tato! – Zbyszek rzucił mu się na szyję. Nie pamiętał kiedy po raz ostatni tak przytulał się do ojca, ale bez wątplenia był wtedy jeszcze dzieckiem.

Mężczyzna w końcu ochłonął.

– Co się stało? – spytał.

Chłopak odsunął się od niego. Zbliżył się do psa i trącił go nogą. Zwierzę z pewnością nie żyło. Wokół jego głowy zebrała się mała kałuża krwi.

– On rzucił się na mnie... To klątwa...

Ojciec roześmiał się chrapliwie, bez cienia wesołości.

– Wigor był już stary... – zaczął wolno, z namysłem. – Coś mu się pomieszało w głowie... To się pewnie zdarza. Nie wiem, nie znam się, ale na pewno coś takiego się zdarza. Oszalał ze starości. Przecież ten psiak cię kochał...

– Nic nie rozumiesz – przerwał Zbyszek. – On już jest dzisiaj trzeci. Najpierw Ileana zastąpiła na lekcji, potem Mateusz wpadł pod samochód, a teraz Wigor chciał mnie zabić. To nie może być przypadek. To wszystko jakoś się ze sobą łączy...

– To przypadek... – Ojciec powiedział coś jeszcze, ale chłopak go nie słuchał.

Porwał z regału komórkę i wybiegł z pokoju. Nie potrafił spokojnie przyglądać się martwemu przyjacielowi.

Wystukał numer Anki. Przez dłuższą chwilę nikt nie odbierał, ale gdy Zbyszek już miał się rozłączyć, w słuchawce rozległ się obcy kobiecy głos:

– Halo.

– Dzień dobry, mówi Zbyszek, chciałem rozmawiać z Anią.

Zamiast odpowiedzi usłyszał stłumiony szloch.

– Ona... ona nie żyje...

Zbyszek poczuł na plecach dotknięcie lodowatej ręki. To wszystko nie mogło być jedynie makabrycznym zbiegiem okoliczności. Zaczęło się od Ileany, a potem zaczęli ginąć oni. Jej uczniowie. Mateusz, Anka, następny miał być Zbyszek, ale ojciec nie dopuścił do tego, żeby Wigor go zagryzł.

– Co się stało? – wykrztusił.

Musiał odczekać chwilę, nim jego rozmówczyni uspokoi się i będzie w stanie odpowiedzieć.

– Wyskoczyła przez balkon.

– Wskoczyła... – powtórzył zaskoczony. – Jak to...?

– Normalnie! – zawyła kobieta. – Przeszła przez barierkę i skoczyła... na moich oczach... Przepraszam, nie mogę rozmawiać... Ja... Ja...

– Jeszcze tylko jedno pytanie – jęknął błagalnie Zbyszek. – Czy coś mówiła? Czy coś powiedziała, zanim... – Nie potrafił dokończyć.

W słuchawce na moment zapanowała cisza.

– Tak, jedno słowo. Powtarzała jedno słowo, ale nie mogłam go zrozumieć, chyba było w innym języku, brzmiało tak jakoś dziwnie. Coś jakby Ileana albo Linelana...

Połączenie zostało przerwane, ale Zbyszek i tak nie zamierzał już o nic pytać. Zresztą nie wiedział, czy udałoby mu się wykrztusić choć słowo. Był zbyt przerażony. Mateusz i Anka przed śmiercią wymówili to samo słowo: imię nauczycielki. Wszystko łączyło się z ich grupą. Dwie osoby zginęły, on ledwie uszedł z życiem... Musi ostrzec pozostałych. Ścisnął mocniej telefon, po czym odłożył go zrezygnowany. Nie miał numeru do nikogo więcej. Nie byli przyjaciółmi, jedynie znajomymi z lekcji rumuńskiego. Spotkali się zaledwie siedem razy. Do tej pory nie było powodu, żeby szukać z nimi kontaktu.

\*\*\*

Przez cały dzień nie potrafił myśleć o niczym innym. W szkole języków obcych był już o piętnastej trzydzieści. Mimo, że szedł wolno, co chwila rozglądając się na boki, by zawczasu zlokalizować ewentualne zagrożenie. Co prawda nie wierzył, że byłby w stanie naprawdę coś zrobić – z pewnością Mateusz i Anka nie rzucili się z własnej woli w ramiona kostuchy – ale nie zamierzał zaniedbać żadnych środków ostrożności. Dotarł na miejsce bez przeszkód, choć dwóch przechodniów musiało mocno trzymać smycze swych czworonogów, niespodziewanie oszalałych na jego widok. Na szczęście oba psy były małe. Zbyszek nie chciał nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby natknął się na rottweilera.

O piętnastej pięćdziesiąt zjawił się Wiktor, a tuż za nim Weronika. Po kilku minutach dołączyły Jolka i Agata. Zbyszek, widząc każde z nich, cicho wzdychał z ulgą. Brakowało jeszcze tylko Przemka.

– Wiecie, że Ileana poczuła się lepiej? – odezwała się Agata. – Wczoraj, chwilę przed naszym przyjściem. Mogła już mówić, nawet zaczęła się uśmiechać.

– Co jej się właściwie stało? – zaciekawił się Wiktor.

– Nie mam pojęcia. Gdy wychodziłyśmy, nie było wszystkich badań. Może Anka powie nam więcej, ona została dłużej.

Zbyszek zaczerpnął tchu. A więc nie wiedzieli, no bo i skąd? Tylko on przypadkiem miał numer Anki. Kiedyś, gdy musiał wyjść wcześniej, obiecała przedyskutować mu pracę domową.

– Nie powie nam... – zaczął. Na samą myśl, że ma przekazać im tę nowinę, zrobiło mu się gorąco. Czuł pot spływający po wewnętrznej stronie dłoni. – Anka nic nam nie powie.

– Czemu? – Jolka popatrzyła na niego uważnie.

– Nie żyje – pisnął.

Choć chciał, by to zabrzmiało naturalnie, głos odmówił mu posłuszeństwa.

– Jak to nie żyje?!

Zbyszek spuścił głowę, ocierając ręce o spodnie.

– Wskoczyła z balkonu.

– Dlaczego?! – Agata zerwała się z miejsca.

– Nie tylko ona nie żyje – ciągnął Zbyszek. – Mateusz wpadł wczoraj pod samochód. Zaledwie kilka minut po tym, jak się rozstaliśmy... Mnie próbował zagryźć mój własny pies.

– Zartujesz?

– Chciałbym. – Spojrzał Wiktorowi prosto w oczy.

– Jezu, co za popieprzony zbieg okoliczności.

– Nie rozumiecie? – Zbyszek wstał i zaczął chodzić między ławkami. – To nie przypadek. To wszystko spotkało nas z jakiegoś powodu, coś nas sobie upatrzyło. Nie wiem co i dlaczego, ale jesteśmy zagrożeni, wszyscy!

Wiktor posłał mu ironiczny uśmiech. Zbyszek z trudem się powstrzymał, by się na niego nie rzucić.

– Przesadzasz – usłyszał.

– Nie chcecie mi wierzyć, bo to nie dotknęło was. To nie wy wczoraj zostaliście obryzgni krwią Mateusza. Nie wy musieliście uważać, by nie wdepnąć w jego mózg! Przemka aż zabrało pogotowie...

– Właśnie, Przemek, gdzie on jest? – przerwała mu Agata. – Wczoraj próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbierał.

– Może jeszcze nie doszedł do siebie – mruknął Zbyszek.

– No dobrze, powiedzmy, że coś w tym jest. – Jolka próbowała załagodzić sytuację. Dostrzegła powątpiewanie na twarzach Wiktora i Agaty, ale kontynuowała: – Że naprawdę musimy uważać, ale na co dokładnie?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Zbyszek wzruszył ramionami. Był wkurzony, nie spodziewał się po nich takiego sceptycyzmu. W końcu jedna czwarta ich grupy zginęła w ciągu zaledwie paru godzin. – Wiem tyle, że Mateusz wyszeptał imię „Ileana”, a później wszedł prosto pod półciężarówkę. Anka, zanim skoczyła, też ją wołała.

Nagle po plecach przeszedł mu dreszcz. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał... Nie miał na to jeszcze żadnego dowodu, ale...

– Myślałem, że to coś w rodzaju klątwy – mówił gorączkowo. – Że zaczęło się od Ileany, a następnie przeszło na nas, ale chyba się myliłem. To ona, wszystko układa się w logiczną całość. Kto wczoraj był przy niej najbliższej, gdy leżała na podłodze w klasie?

– Ja i Mateusz, nawet głównie Mateusz. Klęczał przy niej i cały czas coś mówił – odparła Agata.

– Właśnie! A pół godziny później ginie, i to niejako na własne życzenie. Potem, tak jak mówiłaś, Anka zostaje u niej dłużej w szpitalu. Po czym wraca do domu, wychodzi na balkon i skacze! Żadne z nich nie wyglądało na potencjalnego samobójcę. Nie, coś ich do tego popchnęło. Myślę, że to Ileana. Poczuli się lepiej, prawda? Tuż po śmierci Mateusza, a może nawet w tej samej chwili.

Wiktor popatrzył na niego z wyraźną kpina.

– Oszalałeś! Jak to niby zrobiła? Czarami?

– Bo ja wiem... – Zbyszek przypomniał sobie jej wczorajsze spojrzenie. Na dnie oczu kobiety coś się kryło, coś nieprzyjemnego. – W końcu pochodzi z Transylwanii.

– Naoglądałeś się zbyt wielu kiepskich horrorów.

– Odczep się. Nieważne, jak to zrobiła, ważne, że zrobiła. Leczy się naszym kosztem. Chłonie energię. Jak... jak... wampir.

– Wiedziałem, że do tego zmierzasz. – Wiktor roześmiał się głośno. – Wampiry, wilkołaki, strzygi i upiory. Normalka, nie? Co tydzień mam do czynienia z kilkoma takimi popaprańcami. Na szczęście wystarczy osinowy kołek albo srebrna kula. Proponowałbym załatwić ich wszystkich – kiwnął głową w kierunku sekretariatu. – Tam jest ich gniazdo.

Zbyszek zatrząsnął się z gniewu, ale nic nie powiedział. Sam zdawał sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi. Problem leżał w tym, że to się działo naprawdę.

– A jak wytłumaczysz zachowanie swojego psa? – spytała Agata. – No, chyba że to wilk?

Chłopak prześlizgnął się wzrokiem po twarzach współuczestników kursu. Przypuszczał, że nikt mu nie wierzy.

– Labrador – sprostował zimnym tonem. – To był labrador. Naprawdę się na mnie rzucił. Mój ojciec, broniąc mnie, rozwalił mu łeb metalowym krzesłem.

Jolka westchnęła.

– Przykro mi.

– Stary, to wszystko jest niesamowite – stwierdził pojednawczo Wiktor – ale to jedynie zbieg okoliczności. Mało prawdopodobny, owszem, ale przecież nie niemożliwy. To jak trafienie szóstki w totka, tyle że ze znakiem ujemnym. Zamiast wielkiego szczęścia, wielki pech.

– Chciałbym w to wierzyć.

– To uwierz.

Zbyszek pokręcił głową. Nie potrafił. Odwrócił się i spostrzegł, że z sekretariatu wychodzi pani Maria.

– Dzień dobry – rzuciła sucho, gdy podeszła bliżej. – Możemy już porozmawiać?

– Brakuje jeszcze Przemka... – Weronika posłała jej słaby uśmiech.

– No cóż. – Kobieta skrzywiła się, jakby właśnie przełknęła obrzydliwe lekarstwo. – Mam dla was złe wiadomości. Przemek nie przyjdzie. Dzwoniła jego mama, wczoraj zabrano go do szpitala. Okazało się, że zapadł na jakąś rzadką tropikalną chorobę. Przepraszam was, ale zapomniałam nazwy, była taka skomplikowana... W każdym razie nie musicie się niczego obawiać, lekarze twierdzą, że to nie jest zaraźliwe.

– Ale nic mu nie będzie? – wtrąciła Agata.

– Niestety, nie wiem, jak mam wam to powiedzieć, ale... Przemek dziś rano zmarł. – Odczekała chwilę. – Mam też drugą złą wiadomość, choć już na szczęście nie tego kalibru. Nie udało nam się znaleźć zastępstwa, dlatego wasza grupa zostanie rozwiązana.

– Przecież ona i tak już nie istnieje! – krzyknął Zbyszek i ruszył do wyjścia.

\*\*\*

– Zaczekaj! – Jolka dogoniła go przed budynkiem.

– Wierzysz mi? – Odwrócił się do niej z nadzieją.

Pragnął, by ktoś przyznał mu rację. Może wtedy przestałby się czuć osamotniony. Świadomość, że jest zdany tylko na siebie, przytłaczała go.

– Nie. To znaczy, nie zrozum mnie źle, staram się być otwarta, ale to wszystko jest takie zwariowane... po prostu niesamowite. Trudno to ogarnąć.

– Dzięki i za to – mruknął.

Dziewczyna chwyciła go za ramię i przytrzymała.

– Co teraz? – spytała.

Na usta cisnęło mu się jedno słowo. „Umrzemy”. Powstrzymał się jednak przed wypowiedzeniem go na głos.

– Nie wiem – przyznał. – Nie co dzień mam do czynienia z czymś takim.

Spróbował się uśmiechnąć, ale zabrakło mu sił. Napotkał wzrok Jolki i dostrzegł w nim niepokój. Nawet jeśli nie potrafiła mu uwierzyć, to przynajmniej nie odrzucała możliwości, że wokół nich dzieje się coś dziwnego.

– Ja nie chcę umierać – powiedziała cicho. – Mam nadzieję, że się mylisz, że to wszystko to tylko koszmarny zbieg okoliczności, ale nie chcę się dowiedzieć, że jest inaczej, na ułamek sekundy przed tym, nim na przykład rozjedzie mnie autobus.

– Albo zagryzie własny pies... – dodał ze smutkiem Zbyszek i pokręcił z niedowierzaniem głową.

Wspomnienie Wigora sprawiło, że poczuł się nieswojo. Jeśli miał rację, lektorka odpowiadała za jego śmierć. To ona zabiła mu psa.

– Właśnie. – Jolka milczała dłuższą chwilę. – Może powinniśmy spróbować ustalić, jak ona to robi?

– Nie sądzę, by nam się udało. – Zbyszek pokręcił głową. – Ma jakąś władzę nad nami...

– Nie nad wszystkimi – zaprzeczyła dziewczyna. – Mateusz i Anka popełnili samobójstwo, ale na ciebie nasłała psa. Jeśli to rzeczywiście ona, ale założmy, że tak. To mnie zastanawia. Bo gdyby mogła i ciebie skłonić, żebyś, bo ja wiem, podciął sobie żyły, bez wątpienia by to zrobiła. Miałaby większą pewność, że nic jej nie przeszkodzi.

– Oni byli z nią dłużej, może to dlatego...

– No dobrze, a twój pies? Dlaczego oszalał? Czy ona go kiedykolwiek widziała, jego samego lub chociażby jego zdjęcie?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Podejrzewam raczej – orzekł po namyśle – że jesteśmy w pewien sposób oznaczeni. Jak by to powiedzieć, do odstrzału... To tak, jakbyś chodziła po szkole z naklejoną na plecach kartką z napisem: „Napluj na mnie”. Tyle że u nas prędej jest tam nabazgrane: „Zabij!”.

Zbyszek usłyszał ciche popiskiwanie i zadarł głowę, by sprawdzić, skąd dochodzi. Prosto na nich, ale celując raczej w Jolkę niż w niego, leciał mały ptaszek. Zbyszek popchnął dziewczynę i żywy pocisk musnął ją zaledwie skrzydłami.

– A teraz wierzysz mi choć trochę bardziej? – spytał, przypatrując się drgawkom, jakie wstrząsały leżącym na ziemi ptasim kamikadze. Wróbel nie zdążył wyhamować i roztrzaskał się o chodnik.

Jolka drżała, spoglądając niepewnie to na Zbyszka, to na umierającego ptaka.

– To nie mógł być kolejny przypadek – szepnęła po chwili. – Nie mógł...

– Może lepiej nie stójmy tu dłużej. – Chłopak zerknął w niebo, ale na razie nie dostrzegł innych zagrożeń.

– Masz rację. Chodźmy. Musimy sprawdzić.  
– Co?  
– Jak się czuje Ileana. Jeśli chłonie życiową energię z zabitych, to chyba doszła już do siebie. Ma na koncie trzy trupy.

Zbyszek wzdygnął się. Nie potrafił myśleć o znajomych z kursu jako o zwłokach. Dla niego Mateusz, Przemek i Anka wciąż byli żywi. Przynajmniej w pamięci.

– Chcesz ją zmusić, żeby przestała to robić? – zapytał.  
– Nie zamierzam nawet zbliżyć się do jej łóżka. Chcę jedynie sprawdzić, w jakim jest stanie.  
Chłopak wahał się tylko kilka sekund.  
– To chyba dobry pomysł – stwierdził.

\*\*\*

Do szpitala dotarli bez przeszkód, jeśli nie liczyć pekińczyka, który rzucił się na Zbyszka; staruszcze, która prowadziła psiaka, z trudem udało się uspokoić pupila.

– Zbyszek! – usłyszeli, ledwie minęli bramę.

Chłopak obejrzał się. Chodnikiem obiegającym budynek szpitala szedł Tadeusz. Ruszyli w jego stronę. To spotkanie mogło ułatwić im rekonesans.

– Dzień dobry – zawołał Zbyszek. – Przyszliśmy do naszej nauczycielki.

– Wy jeszcze nic nie wiecie? – Mężczyzna miał zadowoloną minę.

– O czym?

– Już wyszła. Huczy o tym pół szpitala. Wczoraj przywieźliśmy ją prosto na OIOM, według mnie nie miała szans. Jej stan był tak zły, że cudem wydawało się samo to, że przeżyła podróż. A jednak poczuła się lepiej. I to na tyle, że najpierw trafiła na normalną salę, a dziś rano wypuścili ją do domu.

– Tak szybko? Nie robili badań?

– Z tego, co wiem, wypisała się na własne żądanie. Ale faktem jest, że nie było po co jej tu trzymać. Lekarzom chodziło jedynie o obserwację. No, ale zawsze pozostaje niepewność, czy ten atak, czy co to było, nie powtórzy się. Gdy spotkacie waszą nauczycielkę, nakłońcie ją, by się porządnie przebadła. Następnym razem może nie mieć tyle szczęścia.

– W takim razie nic tu po nas. – Jolka chwyciła dłoń Zbyszka i mocno ścisnęła.

Tadeusz źle zinterpretował ten gest, bo, korzystając z nieuwagi dziewczyny, puścił do chłopaka oko i uśmiechnął się porozumiewawczo.

– A twój stary żalił mi się, że nie wie, po co wybrałeś właśnie ten język. – Pokręcił głową, szczerząc zęby. – Dobra, muszę lecieć, robota czeka.

– I co teraz? – spytała Jolka, gdy zostali sami.

Zbyszek odetchnął głęboko. To, że Ileana opuściła szpital, mogło być zarówno złą, jak i dobrą wiadomością.

– Jeśli wyzdrowiała, może już nie potrzebuje energii – szepnął z nadzieją.

– Tak myślisz?

To było tylko przypuszczenie, ale skinął głową. Tak naprawdę podejrzewał jednak, że pasmo śmierci jeszcze się nie skończyło. Lektorka doszła do siebie na tyle, by wrócić do domu, ale na pewno wciąż potrzebowała nowych sił. A może po prostu była głodna...?

\*\*\*

Obudził go telefon. Nim sięgnął po aparat, zerknął na budzik. Dwanaście po dziewiątej. Kto mógł dzwonić do niego w sobotę o tak wczesnej porze? Weekend jest najszczęśliwszą częścią tygodnia, można się wreszcie wyspać, nie trzeba brać dupy w troki i pędzić do szkoły, gdzie jakiś odmóżdżony wuefista każe fikać bezsensowne koziołki.

– Halo... – rzucił zaspany do słuchawki.

– Zbyszek? Obudziłam cię?

Poznał głos Jolki i od razu oprzytomniał.

– Nie szkodzi – odparł – najwyższa pora wstawać.

Coś szeptało mu do ucha, żeby natychmiast się rozłączył. Że nie chce wiedzieć, co dziewczyna ma mu do powiedzenia.

– Mam złe wiadomości – usłyszał.



– Wal – powiedział drewnianym głosem.

Palec błędził wokół przycisku przerywającego rozmowę, ale nie użył go. Zdawał sobie sprawę, że chowanie głowy w piasek niczego nie rozwiązuje. Udawanie, że nie ma żadnego zagrożenia, wcale nie oznacza, że ono nie istnieje, że nie czyha tuż za rogiem.

– Wczoraj, nim za tobą pobiegłam, wzięłam od wszystkich numery telefonów i... – umilkła na kilka sekund – i dziś zadzwoniłam...

– Zerwałaś ich wszystkich tak wcześnie? – przerwał jej zaskoczony.

– Nie każdy wyleguje się tak długo w łóżku. – Ironia tych słów utonęła w ich posępnym brzmieniu. Jolka sprawiała wrażenie kogoś, kto sili się na żart w chwili, gdy po karku przechadza się mu jadowita tarantula. – Zresztą nikogo nie obudziłam, nie było już kogo budzić...

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Doskonale wiedział. Pozostali nie żyli. Dopadł ich ten sam zdumiewający zbieg okoliczności. Główna wygrana na loterii prowadzonej przez panią Śmierć.

– Wiktor leży w szpitalu... Wczoraj wieczorem został pobity przed swoim blokiem. Ponoć przez kumpli z podwórka. Trudno się rozmawiało z jego matką, była w strasznym stanie. W każdym razie Wiktor jeszcze żyje, ale już nigdy nie nauczy się żadnego obcego języka. Jest jak warzywo. Został podłączony do aparatury podtrzymującej życie. Śmierć mózgu, tak mi powiedziała jego matka.

Jolka była bliska hysterii, słyszał to w jej głosie. W jednej chwili pojął, że musi ją jakoś uspokoić.

– Przystań – powiedział rozmyślnie nieprzyjemnym tonem. Pocieszenie jej nie miało sensu, chciał jedynie, by zaczęła trzeźwo myśleć. Miał nadzieję, że ostre słowa sprawią, że zbierze się do kupy; czyż na filmach nie policzkuje się tych, którzy panikują? – Mogliśmy się tego spodziewać!

– Może ty się z tym liczyłeś, ja nie. Zresztą to nie wszystko. Wczoraj po dziewiętnastej Weronika wyszła z domu i do tej pory nie wróciła. Nie wzięła ze sobą telefonu. Gdy zadzwoniłam, odebrał jej brat. Oni jeszcze się łudzą, że da znak życia, ale przecież tak nie będzie, prawda? Ona też zginęła. Jakiś zboczeniec, pies, a może nawet popieprzony kanarek jej przyjaciółki załatwił sprawę, czyż nie?! Dopadł ją, bo – jak to powiedziałeś? – jesteśmy naznaczeni. Każdy z nas nosi niewidzialne piętno, znak, że pora kończyć to kiepskie przedstawienie.

– Uspokój się! – Zbyszek prawie krzyczał. Opanował się jednak i dodał już spokojniej: – A co z Agatą?

– Nie odbiera.

– Pewnie jeszcze śpi.

– Pewnie nie oddycha!

– Nie możesz od razu podejrzewać najgorszego.

– Niby czemu nie? Oni nie żyją, wszyscy, czują to. Zostaliśmy sami. Musimy coś zrobić, ja nie chcę umierać!

– Co proponujesz? – spytał. Sam miał w głowie pustkę.

– Zgłośmy to na policję.

– Nie uwierzą nam.

Zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie minę policjanta przyjmującego zgłoszenie. W najlepszym wypadku wyrzuciłby ich za drzwi, w najgorszym może nawet trafiliby do czubków. A może nie? Może po prostu facet wyciągnąłby broń i oddał kilka strzałów? Jeśli zwierzęta wariowały, kto mógł dać im gwarancję, że to samo nie stanie się z ludźmi?

– To chodźmy do jakiegoś księdza.

– I jak go przekonamy? Nigdzie nie możemy pójść, jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

– Więc zabijmy tę sukę!

Zbyszek zaniemówił. To rozwiązanie w ogóle nie przyszło mu do głowy. Jeszcze wczoraj nie byłby w stanie odebrać komuś życia. Dziś jednak świat wyglądał inaczej. W kwestii: Ileana czy oni, zdecydowanie prawo do dalszej egzystencji przyznawał sobie.

– Jak chcesz to zrobić? – spytał ostrożnie.

– Spróbujmy tradycyjnie, nożem... kijem... W ostateczności przebijemy jej serce kołkiem. Sam mówiłeś, że jest wampirem. Nie zaprzeczysz.

– Powiedziałem tylko, że czerpie energię jak wampir. Przecież nie śpi w dzień i odbija się w lustrze, a na pewno w szybie. Nie sądzę też, by sobie polegiwała w trumnie i bała się czosnku. To dobre na filmach. Tak naprawdę nie wiemy, w jaki sposób można ją zgładzić.

– Ja wiem jedno. Jeśli tego nie zrobimy, możemy zacząć rozglądać się za ładnym miejscem na cmentarzu. I to w trybie ekspresowym, jutro już może być za późno.

Zbyszek musiał przyznać jej rację. Pozostawał jeden problem do rozwiązania.

– Masz choć blade pojęcie, gdzie ona mieszka?

\*\*\*

Zbyszek przyszedł na spotkanie kwadrans przed umówionym czasem, ale Jolka już na niego czekała.

– Agata nie żyje – powiedziała, ocierając łzy rękawem. – Utopiła się podczas kąpieli. Wczoraj.

– A Weronika?

Dziewczyna tylko pokręciła głową.

– Więc prawdopodobnie zostaliśmy sami – skwitował.

– Myślisz, że dadzą nam adres Ileany? – spytała Jolka, wskazując brodą sekretariat.

– Znają nas... Powiemy, że chcemy ją odwiedzić.

– A jeśli są z nią w zмовie?

Jego śmiech zabrzmiał jak suchy kaszel.

– To już po nas. Rozmawiałem z Tadeuszem. Dane, które mają w szpitalu, są do niczego. Sprawdzałem na planie. Nie ma takiej ulicy.

Jolka zbladła jeszcze bardziej. Z pobielatą twarzą wyglądała jak woskowa figura.

– A jeśli...

– Wystarczy tych „jeśli” – przerwał jej – za chwilę wszystkiego się dowiemy.

\*\*\*

Odnalezienie domu nie było trudne. Okazało się znacznie łatwiejsze niż uproszenie pani Marii o adres Ileany. Ochrona danych osobowych, tak to nazwała. Gdyby Zbyszek poszedł sam, pewnie nic by nie wskórał. To, że im się udało, zawdzięczali urokowi osobistemu Jolki. Musiał przyznać, że pozbięrała się do kupy. Uśmiech, jakim obdarzyła sekretarkę, zmyliłyby nawet jego.

– To tutaj – szepnął, patrząc na mały biały budynek, otoczony zaniedbanym trawnikiem.

W zapadającym zmierzchu domek wyglądał jeszcze posepniej.

– Wydaje się opustoszały...

– Nie jest tak źle – stwierdził Zbyszek, podchodząc do ogrodzenia. – Nie widziałaś chałupy mojego wuja... Nawet szczury boją się tam mieszkać, ale nie on.

Dziewczyna go nie słuchała. Nie mogła oderwać wzroku od budynku.

– Wejdziemy furtką?

– Raczej tak. Jeśli ktoś by zobaczył, że skaczemy przez siatkę, mógłby wezwać policję.

– Idź pierwszy.

Zbyszek położył dłoń na kłamce, gdy nagle zza gęstych krzewów żywopłotu wyskoczył duży czarny wilczur. Pies nie ujadął, ale spoglądał na nich nieprzyjaźnie. W jego oczach czała się złowroga inteligencja. Zbyszek gotów był przysiąc, że zwierzę ocenia ich zamiary.

– Dobry piesek – szepnął. – Wpuścisz nas?

Odpowiedzią było krótkie warknięcie.

– Nie drażnij go – pisnęła Jolka.

– Nie drażnię... Mam wrażenie, że on nas rozumie. Prawda, piesku? Wiesz, co do ciebie mówię?

Słumione szcęknięcie zabrzmiało prawie jak „tak”.

– No świetnie, i co teraz? Może powinniśmy kupić mu pętko kiełbasy?

– Nie sądzę, by to coś dało – westchnął Zbyszek. – To strażnik. Jak w horrorach. Tam wampir zawsze ma pomocników. Kogoś, kto pilnuje jego legowiska.

Pies usiadł, nie spuszczać z nich wzroku. Póki byli na zewnątrz ogrodzenia, pozornie nie zwracał na nich uwagi. Jedynie przyglądał się i czekał.

– To co robimy? – spytała Jolka.

– Możemy albo wrócić do domu, albo tam wejść.

– Co za różnica, w obu przypadkach skończy się to dla nas tak samo.

– No właśnie.

Zbyszek zrzucił plecak i zaczął w nim grzebać. Wyciągnął średniej wielkości toporek. Zważył go w dłoniach.

– Widzę, że się przygotowałeś. – Wargi dziewczyny ułożyły się w grymas, który od biedy można było uznać za uśmiech.

– Miałem przecucie, że nie zostaniemy zbyt ciepło przyjęci.

Chłopak podszedł do furki i pchnął ją mocno. Metalowe drzwiczki otworzyły się na całą szerokość. Tuż za nimi siedział wilczur. Cicho powarkował, gotów natychmiast zaatakować. Przez moment człowiek i pies spoglądali na siebie wyczekująco.

Zbyszek poruszył się pierwszy. Zrobił dwa szybkie kroki do przodu i zamachnął się toporkiem. Ostrze przecięło powietrze i opadło w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się łeb zwierzęcia. Trafiło w pustkę. Pies cofnął się błyskawicznie, a następnie, niemal w tej samej sekundzie, skoczył i chwycił zębami prawe ramię Zbyszka.

Chłopak krzyknął z bólu i wypuścił toporek. Zrozumiał, że nie ma szans w starciu z wilczurem.

– A żeby cię szlag! – wrzasnęła Jolka i podbiegła do nich.

Wyciągnęła rękę przed pysk zwierzęcia i trysnęła mu czymś prosto w ślepią. Pies od razu puścił ramię Zbyszka. Przypadł do ziemi, cicho skomląc, i wtedy dziewczyna uderzyła go w łeb krótką metalową pałką. Zwierzę sprawiało wrażenie oszołomionego, ale jeszcze nie pokonanego.

– Na co czekasz?! – krzyknęła Jolka.

Zbyszek oprzytomniał. Podniósł toporek i nie zważając na ból, jaki towarzyszył każdemu ruchowi ręki, z całej siły spuścił go na łeb wilczura. Ostrze zagłębiło się w czaszce, rozłupując ją niemal na pół. Chłopak spojrzał na martwego psa i zwymiotował. Przed oczami stanął mu Wigor.

– Chyba powinienem ci podziękować... – powiedział, gdy poczuł się nieco lepiej. – Skąd to wziętaś?

– To rzeczy brata. Miał jeszcze gruby łańcuch, ale okazał się strasznie ciężki, więc dałam sobie z nim spokój.

– Nie chciałbym spotkać się z twoim braciszkiem w ciemnej uliczce.

Jolka nie odpowiedziała. Ruchem głowy wskazała biały budynek.

– Chodźmy, zanim ktoś się zainteresuje, co tu się dzieje.

Przenieśli truchło psa w zarośla, by nie było widoczne z drogi, i podeszli do domku. Wejście znajdowało się z tyłu, od strony niewielkiego ogrodu. Zbyszek szarpnął za klamkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi nie były zamknięte. Widocznie Ileana całkowicie polegała na swoim psie. A może czuła się tak silna, że nie bała się intruzów? To przypuszczenie sprawiło, że włosy zjeżyły mu się na głowie. Już niczego nie był pewien. Nie wiedział, czy Ileana była wiedźmą, czy raczej udającym człowieka stworem. Pewne było tylko to, że żywiła się ich energią, a oni właśnie sami pchali się w jej łapy.

– Zapal światło – szepnęła Jolka.

Wnętrze domu tonęło w mroku. Zbyszek posłusznie sięgnął ręką ku włącznikowi, ale żarówki nie rozbłysły. Albo były przepalone, albo w budynku w ogóle nie było prądu.

– Masz latarkę? – Jolka spytała tak cicho, że Zbyszek z trudem wychwycił słowa.

O tym nie pomyślał. Zabrał nóż, linę, podpałkę do grilla w płynie, dwa pudełka zapalek, no i oczywiście toporek, ale nie przyszło mu do głowy zaopatrzyć się w coś, czym mógłby sobie wygodnie przyświecić.

– Tylko zapalaki.

Wyciągnął z kieszeni pudełeczko. Błady płomień nie zdołał rozświetlić całego pomieszczenia. Wystarczył jedynie, by zorientować się w otoczeniu. Stali w niezbyt dużym przedpokoju. Wszystkie prowadzące z niego drzwi były zamknięte. Mogli iść na lewo, w prawo lub przed siebie.

Zbyszek wskazał drzwi na prawo i upuścił szerniałe drewnienko. Płomień zaczynał już mu lizać palce. Jolka ścisnęła jego ramię, jakby zamierzała dodać mu odwagi, po czym delikatnie go popchnęła. Zrozumiał. Miał iść pierwszy.

Pokój, do którego weszli, okazał się całkiem spory. Ciemności jeszcze spotęgowały to wrażenie. Sprawiały, że wydawał się pełen dogodnych kryjówek, z których lada moment ktoś mógł na nich wyskoczyć. Ktoś lub coś...

– Mieszka raczej normalnie – stwierdziła Jolka, gdy Zbyszek zapalił kolejną zapalankę.

– Zachowuje pozory... Chyba nie sądziłaś, że natkniemy się na otwartą trumnę.

– Przecież mówiłaś, że ona nie śpi w trumnie. Że to tylko wymysł scenarzystów...

– Skąd mogę wiedzieć, gdzie śpi Ileana? Może ma wygodne łóżko, a może jamę w piwnicy? Nie mam nawet pewności, czy ona w ogóle sypia.

Pomieszczenie było puste. Nie znaleźli też nikogo w pokoju obok.

– Sprawdźmy drugą stronę domu – zarządził Zbyszek.

Kiedy wrócili do przedpokoju, dobiegł ich stłumiony hałas. Dochodził z za drzwi naprzeciwko wejścia. Chłopak pchnął je lekko. Nie zobaczyli nic. Mrok był tu gęstszy niż w innych częściach domu.

Zbyszek zapalił zapalankę. Przed nimi znajdowała się łazienka. Pusta. Chłopak już miał zawrócić, gdy jego wzrok padł na klapę opartą o ścianę. Wejście do piwnicy, otwarte, było zaledwie krok od niego.

Jeden nieostrożny ruch, a wpadłby tam niczym do wilczego dołu. Zbyszek nachylił się nad ciemnym otworem i natychmiast się cofnął. Usłyszał gniewnie wypowiedziane słowa, których nie potrafił zrozumieć.

– Chyba tu idzie – szepnął do Jolki, ściskając mocniej toporek.

To była okazja, która mogła się nie powtórzyć. Musiał załatwić Ileanę jednym uderzeniem, gdy tylko wystawi głowę z piwnicy.

Przyklęknął, gotowy do zadania ciosu. Czuł jednocześnie strach i dziwną euforię. Miał szansę, musiał tylko trafić. Zdawał sobie sprawę, że w ciemnościach, mogło to się okazać wyjątkowo trudne.

Zastygł w oczekiwaniu. Minęła minuta, dwie, po czym ukazała się blada poświata. Drżący poblask wskazywał, że Ileana niesie świeczkę. Zbyszek poczuł, że jego ręce pocą się niemiłosiernie. Baba musiała zginąć od pierwszego uderzenia, drugiego ciosu mógł już nie zdążyć zadać.

Nareszcie zobaczył jej przyprószone siwizną włosy i opuścił ostrze. W tej samej chwili stojąca za nim Jolka wydała z siebie krótki okrzyk. Ileana drgnęła i lekko się obróciła, by sprawdzić, z kim ma do czynienia. To wystarczyło, by toporek chybił celu. Prześlizgnął się tuż obok głowy lektorki i z impetem wbił w drewnianą podłogę.

– To wy? – zapytała kobieta po polsku; wyglądała na zupełnie zaskoczoną. – Co wy tu...?

Zbyszek wyszarpnął toporek. Kątem oka dostrzegł, że Ileana wypuszcza z rąk świecę i coś jeszcze, coś okrągłego, co potoczyło się po stopniach schodów. Słyszał głucho pacnięcia, gdy przedmiot uderzał w kolejne deski. Chłopak odniósł wrażenie, że to głowa – głowa Weroniki – ale nie był tego pewny. Pomieszczenie ponownie ogarnął mrok, a on przede wszystkim skupił się na broni. Równie dobrze upuszczonym przedmiotem mogła być główka kapusty.

Zamachnął się toporkiem, ale Ileana zdążyła się skryć w piwnicy.

– Co się stało?! Czego chcecie?! – krzyknęła na wół zrozumiale.

– Nie uda ci się nas zabić! – syknął Zbyszek, starając się wymacać prowadzące w dół stopnie.

Zszedł do piwnicy. Za nim ostrożnie podążała Jolka. Nie widział jej, ale słyszał ciche kroki na schodach. Był przerażony, ale i wściekły. Wszelkie wątpliwości już go opuściły. Niezależnie od siły Ileany nie było odwrotu, musiał się z nią zmierzyć.

– Wyłaż, więdmo! – krzyknął, gdy znalazł się na dole.

Mrok wydawał się tak gęsty, że Zbyszek miał wrażenie, że jest w stanie go dotknąć. Nauczycielka mogła się kryć wszędzie. Nie mógł nawet zapalić zapałki, gdyż wymagałoby to odłożenia broni.

– Jolka – powiedział.

– Jestem.

– Zapałki są w przedniej kieszeni spodni.

Poczuł pacnięcie w tyłek, a następnie dłoń dziewczyny, trzymając się materiału jego spodni, prześlizgnęła się na przód. Chwilę błądziła tam w poszukiwaniu kieszeni. W innych okolicznościach ten dotyk mógłby go rozbawić lub zażenować, teraz jednak myślał wyłącznie o tym, by odnaleźć Ileanę.

Jolka wyszarpnęła pudełko i potarła zapałką o draskę. Wnętrze pomieszczenia rozświetliło się, ale na krótko, zapałka niemal od razu zgasła.

– Szybciej – jęknął błagalnie.

Słyszał szept Ileany, jakieś niewyraźne słowa. Zdawał sobie sprawę, że musi natychmiast zatłuc lektorkę albo zginie. Być może z własnej ręki. Po tym, co stało się z Mateuszem i Anką, nie mógł tego wykluczyć. Najpierw rozpląta czaszkę Jolce, a potem przeciągnie ostrzem toporka po swojej szyi.

Dziewczyna wyciągnęła drżącymi dłońmi kolejną zapałkę. Tym razem się udało. Płomyk zadrzał i zmalął, ale nie zgasł. Zbyszek mógł nareszcie przyjrzeć się wnętrzu piwnicy.

Ileana stała zaledwie dwa metry od niego, nieco na lewo, za dużym drewnianym stojakiem.

– Zostawcie mnie! – krzyknęła, widząc, że jej kryjówka została odkryta. – Nic wam nie zrobiłam.

– Nie zdążyłaś... – szepnął Zbyszek. – Ale do wieczora pewnie uporałabyś się i z nami, co?

Kobieta się cofnęła, ale za sobą miała tylko murowaną ścianę. Znalazła się w pułapce.

– Nie rozumiem, o czym mówisz!

Zbyszek nie zamierzał z nią dyskutować. Przyskoczył i zamachnął się toporkiem. Kobieta uchyliła się i ostrze zamiast na głowę, opadło na jej rękę. Wrzask Ileany rozbrzmiał w małym pomieszczeniu.

– Poczekaj, spróbuj najpierw tym. – Jolka rzuciła mu pojemnik z gazem.

Chłopak złapał go. Nie zastanawiając się, nacisnął dozownik. Natychmiast tego pożałował. Ileana z krzykiem zasłoniła twarz dłońmi, ale gaz podzielał również na niego. Do oczu napłynęły mu łzy. Prawie nic nie widział.

Zapałka trzymana przez Jolkę zgasła.

Gdy zapłonęła kolejna, uderzył. Trochę na pamięć, trochę kierując się mozaiką jasnych i ciemnych plam, w jaką zamienił się świat dookoła. Trafił. Poczł jak toporek wbija się w coś twardego, co jednak ustąpiło pod wpływem siły, jaką włożył w cios. Krzyk nauczycielki urwał się, ale dla pewności Zbyszek zamachnął się raz jeszcze.

Światło zgasło i usłyszał, że Jolka wymiotuje. Jemu także zrobiło się niedobrze.

– Trzeba jeszcze... poświecić... chwilę... – sapnął z wysiłkiem. – Muszę... odciąć jej łeb...

– Co...?

– Kołek nie jest pewny. Wyczytałem w Internecie, że najlepiej odciąć głowę. Trochę się bałem szukać w Sieci, by monitor nie eksplodował mi prosto w twarz... Ale udało się, znalazłem, co chciałem... Trzeba uciąć głowę, a ciało powinniśmy spalić... Deski tu są... z domu zabrałem podpałkę do grilla...

\*\*\*

Zbyszek z Jolką szli ulicą, co chwila oglądając się za siebie. Nie dostrzegli jednak ani blasku ognia, ani dymu. Okolica wydawała się nadzwyczaj spokojna. Nic nie wskazywało, że w pobliskim domku, a dokładniej w jego piwnicy, płonie coś na kształt stosu pogrzebowego. Odrąbana głowa leżała między nogami zwłok, niedaleko wyjętego z klatki piersiowej serca. Członki, także oddzielone od ciała, zostały skrzyżowane i obwiązane drutem, żeby nawet po tym, jak płomienie strawią ciało, wciąż pozostały w tej pozycji. Chcieli mieć pewność, że obracająca się w popiół istota już nie wstanie. Nie ożyje ponownie, by szukać zemsty.

Biały domek zniknął z pola ich widzenia, gdy Zbyszek wreszcie się odezwał. Były to jego pierwsze słowa od momentu, gdy podpalili stos.

– Właściwie nie było tak trudno – mruknął, starając się zasłonić plecakiem i w miarę czystą kurtką czerwone plamy na ubraniu. I on, i jego towarzyszka byli umazani krwią, która w mroku wydawała się jedynie czarnymi wzorami. – Te wampiry są stanowczo przereklamowane...

Jolka uśmiechnęła się blado i wyciągnęła komórkę. Przez chwilę w zamyśleniu obracała ją w palcach.

– Zamierzasz gdzieś dzwonić? – spytał Zbyszek.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Myślałam o mamie Anki – przyznała.

– I co jej powiesz? Że pomściliśmy jej córkę? Uznałaby nas za czubków albo nawet powiadomiła policję.

Jolka niepewnie pokiwała głową. Zamierzała schować telefon, gdy ten niespodziewanie zadzwonił.

– Słucham – rzuciła lekko schrypniętym głosem.

Po plecach Zbyszka przebiegł dreszcz. Przez moment miał wrażenie, że dzwoni Ileana. Że to, co zrobili, wcale jej nie powstrzymało. Co najwyżej ją rozbawiło, a teraz nadeszła kolej na nich. Zatelefonowała, by powiadomić ich, że wkrótce umrą.

Jolka zatrzymała się i dłuższy czas nic nie mówiła. Wreszcie wykrztusiła do aparatu kilka krótkich słów.

– Dzwoniła Weronika – wyjaśniła, gdy się rozłączyła.

Zbyszek pomyślał o przedmiocie, który wypadł z ręki Ileany, gdy wychodziła z piwnicy. Co to było? Głowa innej ofiary, a może naprawdę kapusta? Wszystko działo się w takim pośpiechu, że nawet gdy wyeliminowali lektorkę, zapomniał tego sprawdzić.

– Powiedziała, że była u Agaty, gdy ta brała kąpiel. Agata... – Jolce na parę sekund głos uwiązł w gardle – ponoć kręciła z Przemkiem. Gdy zmarł, bała się, że i ona coś złapała. Dlatego szorowała się jak oszalała, po prostu nie chciała wyjść z wanny. Weronika zostawiła ją samą, a po dłuższej chwili znalazła martwą z rozbitą głową. Pewnie Agata poślizgnęła się i uderzyła o kant. To by znaczyło, że one obie nie są ofiarami Ileany.

– A inni? A zwierzęta?

– Może inni też mieli pecha, może psy się wściekały, bo nosisz na sobie jakiś drażniący je zapach, może to tylko najbardziej popapwany w historii tej planety zbieg okoliczności? A my... od razu ucięliśmy głowę babie od rumuńskiego.

Zbyszek milczał. Na usta cisnął mu się śmiech, który nie miał nic wspólnego z wesołością.

\*\*\*

Mały prawosławny cmentarzyk ginął w potokach ulewnego deszczu. Za przemokniętym kapłanem i niewielką trumną podążało, bezskutecznie kryjąc się pod parasolami, zaledwie parę osób. Nikt nie płakał. Każdy marzył tylko o tym, by już znaleźć się w domu.

Tuż za trumną szła Maria. Według jej wiedzy Ileana nie miała nikogo bliskiego, ani tu, ani za granicą. Na pogrzeb przyszło jedynie kilku pracowników szkoły języków obcych i wysoki, chudy mężczyzna, którego Maria kiedyś już widziała w towarzystwie Ileany.

– To straszne, taka śmierć... – powiedział mężczyzna, podchodząc bliżej.

Maria uznała, że te słowa są skierowane do niej.

– Nie znaleziono sprawców – odparła.

Akcent jej rozmówcy zdradzał, że mężczyzna pochodzi z Rumunii.

– Byłem jej przyjacielem, chyba jedynym. Prywatnie należała do osób wyjątkowo skrytych. Pewnie nie powiedziała pani, że długo chorowała? Cała ona. Było z nią bardzo źle, ale niespodziewanie nastąpiła cudowna poprawa. Nikt nie potrafił tego wytłumaczyć, ani specjaliści, ani Ileana. Lekarze aż nie mogli w to uwierzyć...

– Długo pan ją znał? – przerwała mu.

Mężczyzna chwilę milczał.

– Mam wrażenie, że całe wieki.

– To straszne, co się dzieje z tym światem. – Maria westchnęła. – Ludzie mordują się jak zwierzęta.

– Gorzej.

– Ma pan rację. Słyszałam, że jej zwłoki zostały zbezczeszczone. Kto mógł dopuścić się takiej potworności...?

Mężczyzna spojrział na Marię. Jego twarz wydała się jej strasznie blada. Naciągnięta skóra upodabniała ją do wyszczerzonej posepnie czaszki.

– Dla nas najważniejsza jest tradycja – oznajmił cicho. – Teraz, gdy kości Ileany powróciły do ziemi, ułożone tak, jak nakazuje wiara przodków, wierzę, że wszystko będzie dobrze. Winni zostaną ukarani. Tak, na pewno zostaną ukarani.